

MOWA

w pięćdziesięcioletnią rocznicę

śmierci ś. p.

Ks. KAROLA ANTONIEWICZA T. J.

powiedziana

w kościele św. Barbary w Krakowie 14. listopada 1902 r.

PRZEZ

KS. WŁADYSŁAWA CHOTKOWSKIEGO.



32392
Z BIBLIOTEKI
SEMINARIUM
SANDOMIERSKIEGO

LWÓW

Z Drukarni Katolickiej Józefa Chęcińskiego.

1902.

50 h
44

MOWA

w pięćdziesięcioletnią rocznicę śmierci

ś. p. ks. Karola Antoniewicza T. J.

powiedziana w kościele św. Barbary w Krakowie 14. listopada 1902.

PRZEZ

ks. Władysława Chotkowskiego.



LWÓW

Z Drukarni Katolickiej Józefa Chęcińskiego.
1902.



AWOM

Wydawnictwo techniczne

J. J. BROWIAR

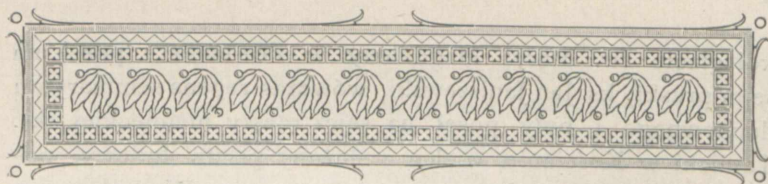
Z BIBLIOTEKI
SEMINARIUM
SANDOMIERSKIEGO

Wydawnictwo techniczne

~~~~~  
Nakładem Redakcyi „Gazety Kościelnej” we Lwowie.  
~~~~~

Wydawnictwo Cieszkowskiego

Wydawnictwo Cieszkowskiego
1904



»Panie zastępów, Ty powstawszy zmiłujesz się nad Syonem, boć czas zmiłowania nad nami, bo przyszedł czas«. *Psalms. 101, 14.*

Eminencyol

Pół wieku dobiegnie dzisiaj na wieczności zegarze, gdy wybije jedenasta godzina z południa, od chwili, kiedy zgasła gromnica w skostniałej dłoni śp. O. Karola Antoniewicza, a zgromadzeni przy łożu śmiertelnem bracia zakonnici pierwsi prosili Boga: »wieczny odpoczynek racz mu dać Panie«. — Dzwon kościelny, zwiastujący żałobną nowinę, rozległ się po ślicznej dolinie, na której się wznosi klasztor po Cystersach w Obrze, poszedł po zwierciadłach jezior wielkopolskich, a żalosnem echem odpowiedziały mu dzwony wszystkich kościołów po miastach, miasteczkach i siołach w zaborze pruskim, aż do brzegów Bałtyku i po odrzańskim kraju. Stamtąd szedł na całą »ziemię mogił i krzyżów«, odbił się od szczytów turni tatrzańskich — i dotarł aż nad brzegi Sekwany, gdzie tułacza gromadka Polaków odpowiedziała żałobnemi modłami i uroczystem nabożeństwem.

»Cóż to za płacz rozlega się po całej naszej ziemi, jakby cała stała się cmentarzem? Cóż to za strata, od której tak jęły wszystkie dusze razem, jak gdyby każdy tam stracił ojca, brata, przyjaciela, jakby nowa narodowa klęska spadła znów na Polskę?« Tak zaczął kazanie swoje w Paryżu O. Aleksander Jełowicki. Najznakomitsi kaznodzieje wielkopolscy, ks. Aleksy Prusinowski, wówczas mansyonarz przy

kolegiacie św. Maryi Magdaleny w Poznaniu i poseł na sejm pruski, ks. Jan Janiszewski, wówczas regens seminarium duchownego i były poseł na sejm rzeszy niemieckiej, ks. Tomicki w Kościanie, wielce zasłużony pisarz ludowy, pozostawili nam w druku swoje żałobne mowy. Wydrukowano też mowę, powiedzianą na żałobnem nabożeństwie w Krakowie, ale mowca bał się odsłonić przyłbicy. W Galicyi modlono się wszędzie i płakał lud, ale kaznodzieja nie odezwał się żaden, bo tu, jak i w zaborze rosyjskim, strach zamykał usta.

Pół wieku, to długi czas i zwykle o człowieku, co umarł, już głucho po świecie. Pomarli krewni, przyjaciele, znajomi — a z nimi zgasło wspomnienie. Nagrobki jeszcze niektórym dochowują pamiątki, ale wyblakłe na nich napisy niezrozumiały już tylko odzywają się mową. O uczonych mówią księgi do tych niewielu, którzy je czytają. — Wielu bardzo poczytnych za życia pisarzy wyszło z mody i mało kto troszczy się o ich dzieła.

Nie tak ze śp. O. Karolem! Dzisiaj więcej o nim wiemy, niż wiedziano w chwili jego zgonu. Troskliwe ręce wydały jego kazania, listy, rozliczne a prześliczne pisma i poezye, napisały piękny żywot, który prawie monografią nazwaćby można. Więc dzisiaj nie starczyłoby jednej krótkiej żałobnej przemowy, gdyby się chciało wszystko o nim powiedzieć. Ale niepotrzebna, zbyt trudna i utrudzająca byłaby to praca, ani też nie może być celem wyczerpanie wszystkich szczegółów jego pięknego, prawdziwie budującego żywota i jego prac apostołskich, co tyle przyniosły błogosławionych owoców.

Natomiast dzisiaj, z oddalenia półwiekowego, można te prace i owoce lepiej ocenić po ich skutkach, a siejbę jego po tem żniwie, które przyniosło rzucane przezeń ziarno. On sam wprawdzie mógł już za życia powiedzieć, jak niedgdyś Apostoł o sobie pisał, patrząc na obfity plon swej apostołskiej pracy: »Deus incrementum dedit«, »*Bóg dał przymnożenie*« (I. Cor. 3, 6) i to też było prac jego i tru-

dów najmiłszą osłodą: ale my możemy lepiej poświadczyć, że spełniła się na nim obietnica dana przez Apostoła, że Bóg „który daje nasienia siejącemu doda też chleba ku jedzeniu i rozmnoży nasienie wasze i przysporzy przymnożenie urodzajów sprawiedliwości waszej. (II. Cor. 9, 10).

Siał chleb w tych czasach, w których nad polską ziemią spełniła się groźna zapowiedź proroka Amosa: „*oto idą dni, mówi Pan, i puszcze głód na ziemię: nie głód chleba, ani pragnienie wody, ale głód słuchania słowa pańskiego*“ (Amos 8, 11), i wtedy Bóg posłał go jako siewcę i „*dał chleba ku jedzeniu*“ a rozmnożył jego siewbę tak hojnie, że zgłodniały lud się posilił, umocnił na ciężkie czasy walk, doświadczeń i próby, że do dzisiaj wdzięcznym sercem siewcę bożego wspomina, patrząc na pisma jego, które zostały, jak owe kosze ułamków chleba cudownie rozmnożonego przez Zbawiciela.

Małym chłopcem byłem, kiedy imię O. Antoniewicza powtarzało się na ustach wszystkich ludzi, w całej wielkopolskiej ziemi, a nie było prawie domu, gdzieby nie wisiał jego portret, ryty w stali. Nie było chaty, gdzieby nie było jego książeczki misyjnej. Myślałbyś, że on długie lata tam pracował: a oto ledwo rok cały. Myślałbyś, że on jarmo kapłańskiej pracy długie dźwigał lata, a oto on zaledwie lat ośm był kapłanem. Przeto można o nim z Mędrcom Pańskim powiedzieć, że: „*stawszy się za krótki czas doskonałym, przeżył czasów wiele*“, (Sap. 4, 13), a lata jego służby kapłańskiej można przyrównać do owych siedmiu lat służby Patriarchy Jakóba, o których mówi Pismo św.: „*et videbantur ei pauci dies prae amoris magnitudine*“, „*a zdaly mu się kilka dni dla wielkiej miłości*“ (I. Mojs. 29, 19). Umierając miał dopiero lat 45 i ośm dni, a więc w sile męskiego wieku, a dokonał więcej, niż inni w ciągu najdłuższego żywota.

Głód panował w małopolskiej ziemi, prawdziwy »głód słuchania słowa Bożego« w pierwszej połowie przeszłego wieku. Wypustoszały klasztory, których jeszcze nie poznano, opustoszały seminaria duchowne, a brak duchowieństwa był tak wielki, że w jednej tylko archidiecezyi lwowskiej było siedmdziesiąt parafii osieroconych, niemających pasterza. Szczupła liczba kapłanów nie mogła nastarczyć pracą. Słowo Boże było wzięte pod dozór świecki i musieli je duchowni czytać, żeby to — co napisane — mogło być każdej chwili zrewidowane. Musiało więc być gotowe na każde zawołanie, a co więcej musiało się stosować do świeckich przepisów, bo nawet przedmiot był z urzędu przepisywany, wedle tego, jak się tam potrzebne zdawało. Było to więc martwe ziarno i cóż dziwnego, że się w sercach nie przyjmowało? A przy tem było to ziarno cudze, bo nie tylko były nakazane kazania w niemieckim języku, ale i polskie nie miały szaty rodzimej, dlatego, że duchowni uczyli się nauk od szkół najniższych do najwyższych — tylko w obcym języku: jakże więc mogli ojczystym językiem władać, jak w nim znajdować klucz do tajników serc wiernych?

Nie ma w tem, co mówię, nic przesady, bo przecie śp. O. Karol tak dalece zniemczał, że dopiero wstąpiwszy do nowicyatu w Starejwsi posiadał język polski i opanował go zupełnie.

Taki oplakany stan Kościoła mógł być na rękę rządowi, które dążą do jego zguby, ale musiał budzić obawę w cesarzu katolickim. Dlatego cesarz Franciszek pozwolił się osiedlić w Galicyi Jezuitom, którzy właśnie r. 1820 byli wypędzeni z Rosyi. — Pół wieku przedtem zniesieni, stracili wszystko, ale nie zginęli. Historia nie zna drugiego takiego przykładu, ani dzieje wojenne nie wykażą takiego wojska, któregoby generał skonał w śledczem więzieniu pod najrozmaitszemi zarzutami; które rozwiązał sam papież, zniewolony koalicją dworów burbońskich: Francyi, Hiszpanii,

Portugalii, Neapolu, Toskanii: — a które mimo to przecze-kało burzę i urosło zdala od Rzymu, na Białorusi, w olbrzymią prowincję, za wiedzą i pozwoleniem Papieża. Kiedy zaś Pius VII. (r. 1814) zakon przywrócił (po 40 latach), wyrastali wszędzie jak z ziemi. Wracali do starego swojego Kolegium w Rzymie stuletni starcy i stawali pod swój znak wojenny, którym jest Imię Jezus, pod hasło bojowe, którem jest: wszystko na większą chwałę Boga.

Powrót Jezuitów do Galicyi stanowi nowy okres w dziejach Kościoła tej ziemi, a pierwsza ich zasługa w tem, że zrobili wyłom w systemie, który pozrywał związki zakonów ze Rzymem. — Albo będziemy w ścisłym związku z naszym generałem w Rzymie, albo sobie pójdziemy: albo będziemy starymi, dawnymi Jezuitami, albo nie będziemy tu wcale. Taką postawili alternatywę i cesarz Franciszek, wbrew odmiennym radom kancelaryi nadwornej, dał pozwolenie. Z tą chwilą datuje się też zwrot ku lepszemu w zakonach galicyjskich. Druga wielka zasługa Jezuitów jest w tem, że zajmawszy się nauczaniem, zaczęli wychowywać młodzież. Wychowali jej też zastęp wielki. Jednej tylko rzeczy nie potrafili przełamać, jednej przewyciężyć, t. j. starych przesądów.

Ludzie nieszczęśliwi chętnie zwalają winę na drugich, nie dziw, że u nas mówiono raz: król zgubił Polskę; mówiono drugi raz: magnaci zgubili Polskę; potem znów, że szlachta zgubiła Polskę; aż wreszcie zaczęto wołać: Jezuici zgubili Polskę! I byli kontenci, że znaleźli kozła ofiarnego! Cała t. zw. inteligencya nasza miała zawsze uprzedzenie do Jezuitów. A to przytem dziwna, że Jezuitów oczernili sztucznie, umiejętnie i zręcznie obcy nieprzyjaciele, a nasi za nimi powtarzali te oszczerstwa, nie jak za panią matką, ale jak za panią macochą pacierz. Tem się stało, że, chociaż Jezuici pracowali w Galicyi, mimo to przez dwanaście lat (1820—1832) żaden Polak z Galicyi do Jezuitów nie wstąpił. Nic więc dziwnego, że i śp. O. Karol żywił do Jezuitów niechęć i uprzedzenie. Dopiero za namową żony zbliżywszy

się do nich, poznał lepiej i następnie przystał do nich, (1841, mając lat 34).

Trzecią zasługą Jezuitów były misye. Dzieje tych misyi są niezmiernie ciekawe.

Skoro Jezuiti otrzymali już wolność zupełnego zachowywania swojej reguły, wniósł Prowincyał Jezuitów, O. Pierling r. 1828 prośbę do cesarza Franciszka o pozwolenie na odprawianie misyi, ale czekał pięć lat na odpowiedź. Był to bowiem niesłychanie twardy orzech dla ówczesnej biurokracyi. — W kancelaryi nadwornej rozstrzeliły się głosy, a kanclerz Mittrowsky osobne obszernie wotum napisał dla cesarza: że z okazji takich misyi mogą być zbiegowiska ludu, politycznie bardzo niebezpieczne. Cesarz jednak poszedł za zdaniem tych, którzy radzili pozwolić na misye tylko tam, gdzie biskup dyecezyalny będzie sobie tego życzył.

Pokazało się, że życzył ich sobie jeden tylko ówczesny biskup tarnowski Piszek. Ale też w jego dyecezyi panował taki głód słowa Bożego, że — jak sam to w piśmie wysłanem do Wiednia opowiada: ludowi zbywało na najniezbędniejszych wiadomościach o rzeczach zbawienia. Nie tylko był wielki brak duchowieństwa, bo na 959.479 dusz było tylko 416 kapłanów, tak że na głowę jednego przypadało z górą 2.300 dusz, ale i szkół było na całą dyecezyę tylko 115 ludowych, a siedm tak zwanych głównych.

Odbyły się więc w dyecezyi tarnowskiej r. 1834 pierwsze cztery misye. — Od 70 lat nie słyszeli ludzie o takim nabożeństwie, nie dziw przeto, że cisnęli się bardzo i że skutek był wielki. W następnym roku (1835) odbyły się trzy misye, ale na tem się też skończyło. Dlaczego? — Bo sprawozdania naczelników cyrkułów opowiadały najrozmaitsze i najdziwaczniejsze rzeczy, tak, że wbrew sprawozdaniu biskupa, uznała kancelarya nadworna misye za bardzo niebezpieczne. Przedewszystkiem raziło tych panów to, że Jezuiti mówią z pamięci, bo to »extemporowanie« było przeciwnie przepisom. Dlatego chwyтали pojedyncze słówka, wyr-

wane ze związku i przedstawiali je w całkiem innym znaczeniu, niż były powiedziane rzeczywiście. Biskup otrzymał przeto wyraźne wskazówki i — misye ustały. Dopiero po dziewięciu latach, kiedy już był ks. Pisztek arcybiskupem lwowskim, odbyły się r. 1844 w jego archidiecezyi cztery misye, a w następnym roku (1845) wielka dwutygodniowa misya we Lwowie.

Ówczesny dyrektor policyi posłał bardzo długie sprawozdanie do Wiednia o tej misyi i donosił niestworzone rzeczy, które mieli Jezuici na ambonie mówić. Ówczesny wojskowy i cywilny gubernator, arcyksiążę Ferdynand, zbił słowo za słowem to sprawozdanie dyrektora policyi, wszelako w kancelaryi nadwornej przeważało to przekonanie, że misye są niebezpieczne i dlatego wysłano do namiestnictwa rozporządzenie, w którym wypowiedziano przekonanie, że rząd spodziewa się po lojalności episkopatu galicyjskiego, iż więcej na żadne misye nie pozwoli. Taki reskrypt wysłał na początku maja r. 1846 były kanclerz, a następnie minister spraw wewnętrznych, baron Pillersdorf — ale tymczasem wzięły już sprawy w Galicyi całkiem inny obrót.

Arcybiskup Pisztek, który ostatnią misyę był urządził, umarł już na początku lutego i nie dożył tego strasznego dnia, którego w jego dawniejszej dyecezyi tarnowskiej wybuchła rzeź, 19. lutego. Oszczędził mu Pan Bóg tego zmartwienia. Tyle jednak pewną zdaje się być rzeczą, że jeden z tych, którzy najzjadliwsze doniesienia pisali o misyach jezuickich, starosta tarnowski, nie był bez winy w tej nieszczęsnej sprawie rzezi galicyjskiej. Miała to być bardzo mądra polityka, ale była bez Boga. — Z jednej strony miało zbuntowane chłopstwo trzymać w szachu szlachtę i nierozważnie zresztą wówczas rozpoczęty ruch narodowy, a z drugiej strony wywołana wówczas kwestya narodowa ruska miała złamać siłę Polaków.

Tymczasem — wbrew intencyom rządu — urządził biskup tarnowski Wojtarowicz, w swojej dyecezyi dwadzieścia

misyi w tymże roku, a przez te misye cała pierwsza połowa tego politycznego programu została zwichnięta, bo lud wszędzie okazywał żal i skruchę. Nic więc dziwnego, że i biskup i Jezuici musieli za to odpokutować. Druga zaś część programu wydała gorsze owoce, niż się ówcześni politycy mogli spodziewać, a tego roku patrzyliśmy na to, jak w bezrobociach ludu ruskiego zeszedł Jazonowy posiew smoczyc zębów bujniej i groźniej, niż sobie zamierzono przed pół wiekiem. I tak ponownie sprawdziło się, że nie może polityka bez Boga przynieść zbożnych owoców, bo złe zawsze na złe robi.

II.

W takiej to chwili dziejowej, strasznej, jak piekło, ohydnej jak zbrodnia Kaina, wśród kurzu krwi bratniej i zgłiszcz jeszcze dymiących, zjawia się postać śp. O. Antoniewicza.

Dopiero w październiku 1844 był wyświęcony, dopiero w marcu 1846 złożył przepisane egzamina z teologicznych nauk, a już w kwietniu idzie na misye. Posyłają go przełożeni w samo gniazdo szerszeni, w samo ognisko buntu, bo go dosyć znali. On idzie, bo każą, bo słuchać się już nauczył. Jak płomień idą jego słowa: zapalają serca; jak młot biją i kruszą zatwardziałości skorupę; jak potok rwący zalewają oschłość, miękczą i wywołują łez potoki. Otwierają się oczy zbłąkanym, wszędzie misye wywołują żal za popełnione bratobójstwa; potargane zostały sidła i zdradzieckie obieże, bo tylko dobrej woli i miłości potrzeba, a bratnia zgoda zakwitnie.

Trzyznaście misyi odbył O. Antoniewicz przez siedm miesięcy, a łatwo pojąć, że ten trud i to niesłychane natężenie odbiło się na jego siłach. Jego nazwisko jednak stało się głośne, a rozgłos rósł coraz bardziej, ale też coraz wyraźniej musiało się na nim sprawdzać to, co Pan Jezus prze-

znacza każdemu, kogo wybierze, jak niegdyś mówił o św. Pawle: „*bo ja mu ukażę, jako wiele potrzeba mu cierpieć dla imienia mego*“ (Act. Ap. 9, 16).

Prześladowanie od obcych doznawane sprawia cierpienie, ale prześladowanie znosić od swoich, to cierpienie stokroć gorsze. Niewdzięczność jest zawsze przykra, ale tem przykrzejsza, im większe były dobrodziejstwa. Zniewaga jest zawsze przykra i chyba doznana ze strony słabego na umyśle i obłąkanego nie może sprawić przykrości.

Rok po misyach zeszedł śp. O. Antoniewiczowi na cichej pracy we Lwowie: uczył w szkole, pracował w kościele, ale jego nazwisko było już zbyt głośne i wciąż był podstrzegany, z powodu misyi, które wbrew woli rządu odbywał i przez nie plany rządu krzyżował. Tak bowiem dziwnie się wówczas składało, że niebezpieczeństwo upatrywano w katolickiem duchowieństwie, a nie wiedziano, że prawdziwa burza idzie skądinąd. Przyszła też i zastała cały świat urzędniczy bezradny.

Lutowa rewolucya w Paryżu, przygotowana przez tajne stowarzyszenia, znalazła oddźwięk w Rzymie przeciwko Papielowi, następnie we Wiedniu, w Berlinie. Musiała też wybuchnąć we Lwowie, bo przecie u nas zawsze byli tacy, którzy dla obcych wygarniali kasztany z ognia i zawsześmy za drugich karku nadstawiali. Utworzyła się wnet liga studencka, gwardya narodowa, rada narodowa — i było radości wiele. Dnia 18. marca zebrały się tłumy przed gmachem namiestnictwa i krzykiem domagały się konstytucyi, chociaż patent 15. marca już był wydany. Ale najdziwniejsza przytem że zaledwie konstytucya była nadana, już zaczęto ją obalać, odejmując konstytucyjną wolność Jezuitom, że jeszcze nic nie zbudowawszy, już zaczęto burzyć. Upatrzono bowiem konwikt Jezuicki na koszary dla gwardyi narodowej, a ponieważ Jezuici, mimo to, że motłoch uliczny wybijał im szyby, dobrowolnie ustąpić nie chcieli, więc wysłany został przez radę narodową memoriał do ministerstwa spraw wewnętrznych we Wiedniu, domagający się zniesienia Je-

zuitów. Kto wie, że baron Pillersdorf misye jezuickie uważał za niebezpieczne, tego nie zdziwi, że posłuchał chętnie tej prośby, a ponieważ we Wiedniu domagała się rewolucya zniesienia Redemptorystów, więc jednym zamachem zostały ubite dwie muchy. Tymczasem, jak to zwykle bywa, katolicy we Lwowie namyślali się długo, aż wreszcie zebrali petycję, którą hr. Gołuchowski przesłał do Wiednia, żeby ministerstwo pozwoliło Jezuitom pozostać we Lwowie, choćby nie w klasztorze. Odpowiedź przyszła odmowna, ale zniesienie Jezuitów nie było wykonane z taką ścisłością, jak r. 1773, kiedy zabrano im wszystko, cały milionowy majątek i jak po 24 latach w Prusiech (1872), skąd zasadniczo, ustawą zostali wygnani. Ówczesny zastępca gubernatora, hr. Gołuchowski, krewny prowincyała Jezuitów, O. Baworowskiego, sprawił, że część ich tylko opuściła Galicyę, że ucichli, aby przeczekać burzę, która już po czterech latach przeminęła.

Wszelako nasi kochani patryoci, którzy tak szli na rękę masoneryi, mało mieli stąd pociechy, bo konwikt nie służył za koszary gwardyi narodowej, tylko za szpital wojskowy. Gwardya bowiem znikła z widowni po zbombardowaniu Lwowa! — Myślałbyś, że historia czego nauczy takich ludzi, ale niestety i to nieprawda. Za ledwie minęło lat 21, a u nas tu w Krakowie zbierano adresy do Döllingera, napadnięto na kolegium jezuickie (w maju 1869). W tydzień potem Prusacy urządzili w Moabie taki sam napad na Dominikanów — ale się zbyt pospieszyli. Bismark powiedział: za rychło, bo w pierw trzeba było powalić Francję, a wtedy już można było wypędzić Jezuitów i wszystkie zakony.

Zniesienie Jezuitów w Austrii było ciężkim ciosem dla O. Antoniewicza, ale było podobne do owego uderzenia, które ze skały wydobyło źródło ożywcze dla ludu. Ten, który śpiewał tak pięknie do Matki Boskiej: »ucz nas kochać, choć w cierpieniu — ucz nas cierpieć, lecz w milczeniu« — nie przestał na chwilę kochać i pracować. Jak Apostoł Paweł św. w ciągłych podróżach, pracach, niespaniu, nie miał chwili

odpoczynku. Tułacz na własnej ziemi siał wciąż ziarno zbawiennej nauki, a imię jego zasłynęło jeszcze bardziej, kiedy na zgłiszczach spalonego Krakowa (1850), miał wstrząsające do głębi wszystkie serca, swoje niezrównane kazania. Do proroka Jeremiasza przyrównywano go wówczas i można to o nim powtórzyć bez przesady.

Był jak brzoza polska, która nacięta wydaje sok wonny, był jak drzewo sandałowe, które przenika wonią nawet topór, który je rani.

Ran jego sercu nie brakło. Szukał szczęścia w małżeństwie, znalazł rany. Pochował pięcioro dzieci, wreszcie pochował żonę. Matka wstąpiła do klasztoru Benedyktynk ormiańskich i umarła w tym samym roku, kiedy otrzymał święcenia kapłańskie, nie doczekawszy upragnionego szczęścia. Klasztor był mu odtąd rodziną i matką, ale i z tego został wygnany: »ja mu ukazę, jako wiele potrzeba mu cierpieć dla imienia mego« — powiedział Pan Jezus i ukazał.

Niebawem też miało mu się otworzyć nowe szerokie pole apostołskiej pracy w misjach na Szląsku (1851).

W tej piastowskiej dzielnicy były stosunki kościelne okropne pod rządem pruskim. Dostyc powiedzieć, że miała pasterzy takich, jak Sinzendorf i Sedlnitzky, który nawet jawnie stał się apostatą i przeszedł na luterską wiarę. Zmiłował się wreszcie Bóg i dał tej olbrzymiej dyecezyi (1840) pasterza wedle serca Bożego, Melchiora Diepenbrock. Tu znaleźli Jezuita schronienie w Piekarach, gdzie był zacny proboszcz ks. Fiecek i tem się stało, że w r. 1851 rozpoczęły się na Szląsku misye. — Ich wrażenie i wpływ nie da się w krótkich słowach opisać. Chybaby je przyrównać do owego deszczu, który sprowadził prorok Eliasza na zeschniętą długą posuchą i spragnioną niwą.

Lud polski słyszał, po długich latach, słowo polskie w tej czystej pięknej szacie, którą czuł i odgadywał sercem choć już był od niej odwykł. Te misye go podniosły i podźwignęły z upadku, pokrzepiły i umocniły w wierze, utrwaliły w nadziei, zagrzały do miłości, a co niesłychanie wiele

znaczy: nauczyły trzeźwości. Był to początek tego odrodzenia, na które dzisiaj patrzymy, a które musi budzić podziw w każdym, kto zna obecne na Szląsku stosunki.

Zdarzyło się, że arcybiskup gnieźnieński i poznański Leon Przyłuski, bawił w odwiedzinach u kardynała Diepenbrocka we Wrocławiu i zasłyszawszy o błogich skutkach misyi na Szląsku, postanowił je urządzić u siebie, a śladem jego poszedł biskup chełmiński, Sedlak. Tem się stało, że w r. 1852 rozpoczęły się misye jezuickie w Wielkopolsce i Prusach Zachodnich.

III.

Aby doniosłość tych misyi ocenić, trzeba choć krótki rzut oka zrobić na ówczesne stosunki kościelne w zaborze pruskim, mianowicie w Księstwie Poznańskim.

Cmentarna cisza zaległa nad Kościołem katolickim w Prusiech, a wśród tej ciszy, jak ofiara trzymana za gardło żelazną rękawicą, dogorywał Kościół. Panujący długie lata, zaciekle protestant, Fryderyk Wilhelm III., ten, który nową religię lutersko-kalwińską w swoim państwie zaprowadził (1817), zabrał rozkazem gabinetowym r. 1810 cały kościelny majątek. To nic, że w 5 lat potem, po kongresie wiedeńskim (1815) przyrzekł Polakom wolność religijną i narodową a po pięciu latach nawet zawarł konkordat ze Stolicą Apostolską, ogłoszony bullą *de salute animarum* (1820): on w gruncie rzeczy uważał Kościół katolicki za umarły, albo umierający, tylko go ostrożnie, powoli chciał dodusić.

Udawało się też doskonale. Episkopatowi nie wolno było porozumiewać się z Papieżem, nie dziw, że dał się nakłonić do tajnej konwencji ze rządem (r. 1837) i pozwolił na małżeństwa mieszane bez wszelkiej przeszkody.

W Wielkopolsce i Prusiech Zachodnich szła germanizacja szybkim krokiem. Rozporządzenie r. 1826 wypuściło seminarya duchowne w Poznaniu i Pelplinie, a arcy-

biskup Dunin zgodził się na to, że seminaryum duchowne miało być przeniesione z Poznania do Wrocławia, gdzie klerycy Polacy mieli mieszkać w osobnym konwikcie i uczyć się teologii po niemiecku. Zerwał te układy jednak w ostatniej chwili arcybiskup, otrzymawszy upomnienie z Rzymu, ale w Poznaniu osadzono profesorów Niemców, sprowadzonych z dalekich stron. Ich usposobienie dla nauki polskiej cechuje choćby ten fakt, że z biblioteki seminaryjskiej wyrzucali oknami całe stosy polskich starych druków na dziedzińcyk i wozami wywożono je na sprzedaż kupcom do zawijania masła i sera.

Brak duchowieństwa był okropny, straszny »głód słowa Bożego« przepowiadany przez Proroka Amosa zapanował i tutaj. Liczba duchownych wynosiła w obydwóch archidiecezjach 381, a więc nawet mniej niż było w tarnowskiej dyecezyi. Kleryków było zaledwie kilku. Dzisiaj jest duchownych 700, a kleryków 124 — i ta liczba zaledwie wystarcza. Biskup Sedlak sprowadzał duchownych niemieckich do swojej dyecezyi chełmińskiej, ale i Polakom kazano prawić niemieckie kazania. Jacy zaś byli ci niemieccy duchowni, sprowadzani do nas, dosyć wspomnieć księdza Ronge, który dał początek (r. 1844) sekcje t. zw. niemieckich katolików.

Wszelako Bóg nie dał zginąć Kościołowi, a początkiem zbawienia było przerwanie owej ciszy cmentarnej przez arcybiskupa kolońskiego Aug. Klemensa Droste-Vischering, który pierwszy zaprotestował przeciwko owej konwencji tajnej. Jak błyskawica wśród ciemności nocnych rozświetla na chwilę czarną chmur osłonę; jak strzał okrętu walczącego z burzą, wzywający na ratunek: tak podziałało na umysły wszystkich katolików to zdarzenie. Uwięzienie arcybiskupa kolońskiego (1838) przebudziło najpierw arcybiskupa Dunina i on także poszedł na fortecę do Kołobrzegu. »Niech będzie Chrystus pochwalony, używają gwałtu« — zawołał arcybiskup koloński, kiedy go brano do więzienia — i rzeczywiście ten gwałt rozbudził śpiących.

Tymczasem Bóg powołał przed swój sąd króla Fryderyka Wilhelma III., a panowanie jego syna Fryderyka Wilhelma IV. (1840—1861) pozwoliło odetchnąć gnębianej ofercie. Przyszła potem rewolucya 1846 i 1848 r., za nią konstytucya r. 1850 przywróciła wolność Kościołowi. Arcybiskup Przyłuski, który nastąpił po Duninie († 1842)) mógł do seminaryum duchownego w Poznaniu przyjąć profesorów, Polaków (1845). Pierwszym regensem był ks. Lic. Janiszewski, który tu w Krakowie następnie spędził kilka lat w czasie prześladowania Kościoła. Liczba duchownych poczęła też wzrastać, bo kleryków wstąpiło zaraz w następnym roku (1846) trzydziestu do seminaryum duchownego.

W takiej to chwili przybywają Jezuici z misyami na Wielkopolską ziemię.

Od wieku prawie nie było tam misyi. Więc gdy, pierwsza rozpoczęła się w maju w miasteczku Krobii, ciągnął tam dotąd lud gromadnie kompaniami z całej południowej części Księstwa. Przewodniczył tym misyom ś. p. O. Antoniewicz, a jużem wspomniał na wstępie, że nie pamiętają ludzie takiego kaznodziei. — Nie widziałem go i niesłyszałem, a z tego, co w pismach zostało osądzić go nie można, bo inaczej mówił, niż pisał, a pisał pospiesznie. Wiele zalet i wiele przymiotów potrzebnych jest dla doskonałego mówcy i kaznodziei. Postawa, twarz, oczy i ruchy; głos i jego brzmienie, dźwięk, doniosłość, przenikliwość a przytem słuch muzyczny; nauka, pamięć, przytomność umysłu i panowanie nad sobą. Ale nadewszystko zapał serca i gorąca miłość Pana Boga jest potrzebna. Więc nie wiem, jakim był kaznodzieją O. Antoniewicz, ale sądzę, że najtrafniej go opisał sam największy kaznodzieja i mówca wielkopolski ks. Alexy Prusinowski w swojej mowie pogrzebowej.

>Jakżeż skreślę jego wymowę kaznodziejską, jakąż tym jego naukom, powszechnie podziwianym, uwielbianym, porywającym, oddam pochwałę? O! mylą się ci wszyscy, którzy w ks. Karolu wynosili mówcę i kaznodzieję — słyszałem i ja znakomitych mówców krajowych i zagranicznych

a przecież nie słyshałem nauk takich i pono słyseć nie będe, jak te, co się lały z ust i serca zmarłego. Nie był on kaznodzieją i mówcą, ale był apostołem. Słowa jego miały życie i zaczynały jak krwi obieg po żyłach duszy przechodzić i płynąć i zaszczepiały tam życie, gdzie śmierć dawniej zamieszkała. W tej postaci serdecznej, z którą stanął na kazalnicy, z którą okiem swem zdawał się wnikać do głębi serca każdego słuchacza, w tej spokojności pogodnej nie było i cienia sztuki wymownej: tam dusza więcej mówiła, niż ciało, tam głos był tylko jako drżenie struny, którą Bóg sam trzącał do zachwycenia ludzi swoją prawdą i swoim prawem; tam Duch Święty raczej mówi jak duch ludzki. Tak mówił Piotr w Jerozolimie, kiedy się tysiące luda od jednego nawracały słowa; tak Szczepan, kiedy się grzesznym Faryzeuszom serca krajały, a nie mieli coby mu odpowiedzieć; tak Paweł w Atenach, kiedy się pogańscy mędracy dziwili nauce o nieznanym Bogu. — Zaniedbany raczej w doborze wyrazów i w układzie postawy, nie chciał ludzki przyborem stroić złotego ziarna ewangelii czystej, pozostawiając samej prawdzie wywołanie należnego skutku w sercach słuchaczy. A jakoż serca porywał? Cisnęły się tłumy, — a nie było jednego pomiędzy wszystkimi, któryby nie był poczuł, że nauka na ranę jego serca położyła palec do zbadania rodzaju choroby, któryby nie był po skończeniu nauki powiedział: dziś do mnie przemówił, to mnie się tyczyło«.

Miał więc osobliwy dar Boży, owej łaski, o której tak pięknie mówi złota księga o naśladowaniu Chrystusa, że jest mocniejsza nad wszystkie nieprzyjacioły i mędrza nad mędrce wszystkie. »Bez niej czemże jestem: jeno uschłem drzewem, niepożytecznym pniem, skazanym na wyrzucenie?« (Ks. III. r. 45).

Ta nadzwyczajna łaska Pana Boga sprawiała, że O. Karol Antoniewicz rozbrajał nawet najstarsze uprzedzenia i przesady, jakich w Wielkopolsce nie brakło, do Jezuitów, że w ten sposób torował drogę do dalszych misyi i prac

swaim braciom. On rozbudził pragnienie, dał przedsmak miśyi, które z powodu cholery niebawem zakazane zostały. On też sprawił, że — kiedy tegoż roku obecnie panujący miłościwy monarcha przywrócił Towarzystwo Jezusowe w Galicyi, a prowincyał, O. Baworowski odwołał misyonarzy ze Szląska, Księstwa i Prus, — uprosił sobie arcybiskup Przyłuski, żeby zostawił O. Antoniewicza z kilku braćmi, a rząd pozwolił na to, żeby się osiedlili w opustoszałym klasztorze po Cystersach w Obrze.

Właściwe prace misyjne rozpoczęły się następnie po czterech latach (1856), ale trwały znowu nie długo, bo skoro Fryderyk Wilhelm IV. uznany został (1858) za chorego na umyśle, a rejencyę objął jego młodszy brat, późniejszy cesarz Wilhelm I., Jezuici musieli niebawem opuścić Obrę. — Jeszcze raz wrócili do Wielkopolski i osiedlili się w Śremie za staraniem ówczesnego arcybiskupa, a świeżo w Rzymie zgasłego kardynała Mieczysława Ledóchowskiego (1869), ale już po czterech latach zostali znowu wygnani z całego cesarstwa niemieckiego i to na mocy osobnej ustawy (1872).

Z tą chwilą zaczęło się prześladowanie Kościoła zaciekle i bezwzględne, ale zastało duchowieństwo tak zeszeregowane, że mogło o sobie z Apostołem powtórzyć: *staliśmy się dziwowiskiem światu, aniołom i ludziom* (I. Cor. 4, 9). To prześladowanie pokazało światu niebywałą od dawnych czasów jedność episkopatu, duchowieństwa i wiernych. Duchowieństwo stanęło wiernie przy biskupach, a lud stanął murem przy swoich ojcach duchownych, a o ten mur rozbiły się ciosy prześladowcze, bo lud ten pokazał się trzeźwy i swojej wiary uczony. Nie twierdzą, żeby misye jezuickie były same to sprawiły, ale śmiało twierdzić mogę, że im to zawdzięczamy w pierwszym rzędzie, bo Jezuici byli pierwsi, którzy w zaborze pruskim zaprowadzać zaczęli bractwa wstrzemięźliwości. Ach, Bogu dziękować: nie stało im tam w drodze żadne prawo propinacyi! Natomiast pisma ks. Antoniewicza rozbudziły chęć czytania i przyczyniły się przez to do podniesienia oświaty. Tylko trzeźwy lud jest zdolny

do oświaty, a tylko trzeźwy i oświecony ma zdrowy chłopski rozum. Taki zaś mądry lud nie da się opętać, ogłupić i podburzyć żadnym podstępom i podbechtywaniami. Pomiedzy taki lud nikt nie potrafi nasiać kąkolu bratniej nienawiści, kłótni i niezgody.

A teraz, proszę, rozważcie: dlaczego O. Antoniewicz zyskał tak wielką miłość, tak gorącą wdzięczność i tak trwałą pamięć, chociaż stosunkowo tak krótko pracował między wielkopolskim ludem? — Bo go sam najbardziej kochał. Więc jemu w pracy, a ludowi w słuchaniu „*zdały się kilka dni dla wielkiej miłości*“. »Cała broń — trochę miłości Boga i bliźniego — i tą bronią trzeba rozpocząć walkę ze szatanem, który tu bardzo jest mocny« — tak pisał w jednym z listów swoich. Ta też broń odnieść musiała zwycięstwo.

I to drugie jeszcze, proszę, rozważcie: dlaczego te misyjne prace w Wielkopolsce przyniosły tak wielkie owoce? — Bo ziarno siejby Bożej padało na glebę serc miłością uprawionych, „*na ziemię dobrą, więc wszedłszy uczyniło owoc stokrotny*“ (Luc. 8, 9). Tutaj lud dał się uwieść do bratobójczej rzezi, tam — w dwa lata później — lud razem z mieszczanami i szlachtą staczał krwawe bitwy z wojskiem pruskim pod Wrześnią, Książem i Miłosławiem. A co więcej powiem, a sądzę, że powiem bez przesady, dzisiaj ten sam lud broni swojej wiary, swojej mowy i swojej ojczystej ziemi dzielniej i wytrwalej, niż ci, których ojcowie krwią tę ziemię tak hojnie zrosili i bronili tak mężnie.

Miłość to sprawiła, przedewszystkiem ta, o której mówi Apostoł, że „*cierpliwa jest i łaskawa, wszystko znosi, wszystko wytrwa*“. (I. Cor. 13, 4—7). Miłość jest więc cierpliwością, a jak mówi nasz poeta, jest »panią niedoli, co gmach swój stawia z niczego — powoli«. Gmachu, który runął w gruzy, nie stawia się od dachu z narodową chorągiewką, lecz trzeba wszystko wytrwać, aby nowe podstawy położyć i granitowe fundamenta. Nie, to nie jest miłość cierpliwa, która każe na uroczystości narodowe spraszać dla

parady wystrojony lud wiejski, a potem go częstować hojnie kosztem magistratu — lecz miłość prawdziwa uczy cierpliwej, wytrwałej, mozolnej, cichej, niczem nie zrażającej się pracy nad ludem. Ta miłość uczy kochać błędzące „*dobrze czynić tym, którzy nas mają w nienawiści*“. (Mat. 5, 44). Nie ma innego sposobu, innej rady i innego środka! Na nic wszelkie stronnictwa, na nic zgoda pojedynczych warstw i stanów „*albowiem — uczy Zbawiciel — jeśli miłujecie te, co was miłują, cóż za zapłatę mieć będziecie? aż i celnicy tego nie czynią?*“ (Mat. 5, 46) „*nad wszystko miście miłość*“ (Kolos. 3, 14) upomina Apostoł, a czy to upominanie dzisiaj, może bardziej, niż kiedykolwiek, nie jest stosowne, kiedy tak straszna rozterka nawiedziła nasz kraj na szkodę własną i na pośmiewisko wrogów?

Nie daremnie zachęcał do miłości piewca, którego półwiekowej pamiętce to dzisiejsze poświęcone jest nabożeństwo: »Kochaj! to słowo na ciebie sprowadzi — I na kraj cały Boskie zlitowanie! Kochaj! to słowo stare grzechy zgładzi, Wywoła nowe w żywot zmartwychwstanie!«

Pół wieku dobiega, jak w cichej klasztornej celi, na wielkopolskiej ziemi konał wielki miłośnik narodu, powtarzając ulubiony afekt św. Franciszka Ksawerego »Jesu, Fili David, miserere mei«, »Jezu Synu Dawida, zmiłuj się nademną! Umierał taką piękną śmiercią, przyjąwszy jeszcze na godzinę przed skonaniem raz ostatni Komunię św., że obecni przy jego łożu bracia zakonnicy byli zbudowani, a my wszyscy możemy mieć tę nadzieję, że Jezus, Syn Dawida, już się zmiłował nad nim, skoro mu już ukazał, jako wiele potrzeba mu było cierpieć dla imienia Jezus i dzisiaj możemy tem śmielej, z tem większą ufnością powtórzyć słowa, które wielkopolski poeta wypisał mu na nagrobku w Obrze: »przez łyzy widzimy cię w niebie i modląc się za Tobą, modlim się przez Ciebie«. Sprawdziło się na nim, co mówił prorok Daniel, że „*którzy ku sprawiedliwości sprawują wielu, świecić będą, jako gwiazdy na wieki wieczne*“. (Daniel 12, 3).

Jak gwiazdą świeci na polskim widnokręgu ten misyonarz gorliwy, który z apostołską siłą gromił złe, zachęcał do dobrego, który siał miłość, aby zeszło boskie zlitowanie. A my — po pół wieku — patrząc ku tej gwieździe, przez łyzy widzimy, jak na wielkopolskiej ziemi jeden dom polski za drugim w gruzy się wali, a na jego miejsce powstają cudze; jak chaty polskie znikają, a powstają czerwone, murowane cudze; jak kościoły nasze otaczają coraz gęściejszym wieńcem kościoły świeżo murowane cudze: jak dumnie ich cienkie wieżycy strzelają w górę: a gdy dzieci nasze nawet w obcym języku Boga chwalić muszą i ten niezrozumiały pacierz boską chwałą być nie może: któżby nie powtórzył za naszym poetą: »smutno nam Boże«!

Ach, tem smutniej nam Boże! że siejbę miłości przytłumił łąkol niezgody w tym kraju, w którym Bóg pozwolił świecić słońcu wolności, więc mimowoli wyrывa się skarga żałosna proroka Zacharyasza: „*Panie zastępów, pókiż się Ty nie zlitujesz nad miasta, na któreś się rozgniewał?*“ (Zachar. 1, 12).

A jakoś w dniach największej trwogi, gdy złe poczynało brać górę, znajdował zawsze środek ratunku i pomocy, tak i teraz znajdziesz go Panie! Dla tego, który jak prorok, jak apostoł Twój przed pół wiekiem był do naszego narodu posłany, nie prosim o wieczny odpoczynek, bo wierzymy, żeś mu go już dał Panie — i owszem, żeś spełnił na nim obietnicę: „*jam jest zapłata Twoją zbyt wielką*“ (I. Mojs. 15, 1) jedno prosimy: domieść go Panie do rzędu tych, którzy jako miłośnicy narodu błagają Cię za nami, a „*Ty powstawszy zmitujesz się nad nami, boć czas zmitowania nad nami, bo przyszedł czas*“. Amen.



BIBLIOTEKA
Wyższego Seminarium Duchownego
w SANDOMIERZU

32392